

Nastały niespokojne czasy. Minął rok od zniszczenia Latarni Gwiazdny Blask przez nikczemnego Marchiona Ro i jego bandę okrutnych Nihilów.

Utworzyli oni na Zewnętrznych Rubieżach STREFĘ OKLUZJI, zamykając setki światów za swoim Wałem Burzowym. Bariera blokuje łączność, a statki, które ją przekraczają, giną w próżni lub są niszczone przez Nihilów.

Republika jest bezradna wobec tego złowrogiego zagrożenia, a odważni i mądrzy RYCERZE JEDI nadal obawiają się legendarnych bezimiennych stworzeń Ro, przekonawszy się na własnej skórze, że są bardzo realne... i zabójczo groźne...



PROLOG

HETZAL, STREFA OKLUZJI

Jak wszystkie istoty żywe, tak i wielki mistrz Jedi Pra-Tre Veter znał strach.

Był to w końcu naturalny, biologiczny impuls, reakcja na bodźce zewnętrzne rządząca zachowaniem stworzeń w całej galaktyce. Strach zapewniał im ochronę, stanowił system alarmowy, ostrzegający przed zagrożeniem, sygnał do ucieczki, nakazujący szukać bezpiecznego miejsca z dala od drapieżników, mogących wyrządzić im krzywdę.

Ale strach był również narzędziem. Bronią, którą posługiwali się ludzie o złych zamiarach, instrumentem kontroli. Dawało się go wykorzystać – czasami w sposób delikatny i precyzyjny, a czasem z siłą młota kruszącego kamień. Strach mógł złamać nawet najsilniejsze jednostki i doprowadzić całe populacje do upadku, zmuszając je do podporządkowania się ciemieżcom.

Strach miał moc niszczenia gwiazd.

Była to jednak broń tchórzzy. Strach dało się pokonać. Przewyciężyć. Przekuć w siłę.

Jako padawan i później, jako rycerz Jedi, Veter nauczył się kontrolować swoje emocje, powstrzymywać je, rozumieć

i wykorzystywać. Nie chodziło o to, że przestał odczuwać lub rozpoznawać strach – raczej zrozumiał, czym on jest, i nauczył się go od siebie odsuwać. Dla niego, podobnie jak dla większości Jedi, strach stanowił po prostu informację – system ostrzegawczy, który pozwalał mu rozpoznać zagrożenie, a następnie odpowiednio zareagować. Jako wielki mistrz Rady Jedi nie pozwalał już, by mącił on jego myśli. Każda jego decyzja była racjonalna i przemyślana.

W ten oto sposób Veter, podobnie jak wielu Jedi przed nim, nauczył się stawiać czoła niebezpieczeństwu. Naraził się, by chronić innych i robić to spokojnie i logicznie, będąc pogodzonym z własnym losem.

To zaś sprawiało, że jego obecna sytuacja stała się jeszcze trudniejsza.

Nie chodziło o to, że przeszkadzała mu kompletna, czarna jak smoła ciemność. Ani ściany czy zimne metalowe kraty jego celi. Nie bał się też Nihilów, Marchiona Ro ani jego sługusów, śmierci i perspektywy połączenia z Mocą.

Ale to coś, ta istota czająca się gdzieś tam w mroku daleko poza jego celą... O, to było coś zdecydowanie innego. Coś zdolnego dosłownie pożreć to, kim był, zniszczyć go do cna. Miało zdolność wywoływania strachu, którego nie potrafił się wyzbyć, który zwił się w jego trzewiach niczym zimny wąż. Bezimienni mieli być stworzeniami z mitów, potworami z historii opowiadanych dzieciom, aby je wystraszyć. Ale Veter – podobnie jak wielu niefortunnych Jedi przed nim – przekonał się na własnej skórze, że te bestie okazały się jak najbardziej realne.

Jeśli uważnie się wsłuchał, mógł usłyszeć, jak to coś spacekuje gdzieś w odległym mroku, człapie wzdłuż ścian własnej celi – drapieżnik w klatce, czekający na odpowiedni moment, by zaatakować, by się uwolnić. Wyglodzona bestia, która wie, że jej ofiara jest blisko.

Veter otworzył oczy, ale nic nie widział. Żadnego ruchu ani przebłysku światła. Jego jedynym ukojeniem były teraz wspomnienia. Uwięziony tutaj, tak blisko tego bezmiennego stwora, nie mógł oczyścić umysłu, skupić się... od ilu dni? Czy minęły już całe tygodnie? A może miesiące? Stracił poczucie czasu. Ale wciąż pozostawał Jedi, a to oznaczało, że nie wszystko jeszcze stracone. Nadal miał w sobie siłę. Umacniały go wspomnienia o jego towarzyszach z zakonu – iskra nadziei, którą w nim wskrzesili. Nie tylko w nim, ale w całej galaktyce. Nadziei, którą mogli na nowo rozbudzić.

Nie bał się. Ale znał strach i znajdzie sposób, by go pokonać, tak jak zawsze.

Veter sięgnął do nosa, by ucisnąć jego grzbiet... i zawałał się, przeklinając w duchu samego siebie, gdy jego ramię przeszył impuls bólu. Lewa ręka mistrza Jedi zniknęła, zredukowana do popielatego kikutu. Ślady dziwnego zwapnienia biegły wzdłuż reszty przedramienia niczym zatrute żyły, odcinając się mocno od brązowoczarnego ciała. Choć powoli, zwapnienie wciąż się rozprzestrzeniało, boleśnie pełznąc coraz wyżej wraz z każdą upływającą godziną. Doznał też innych obrażeń – Nihilowie rozkoszowali się odcinaniem rogowych wypustek wieńczących jego głowę, próbując go upokorzyć, pozbawiając dziedzictwa jego rasy, Tarnabów. Ale Pra-Tre nigdy nie odznaczał się dumą. To tylko zwykłe rany, blizny, z którymi zdoła żyć dalej; nie zmieniały tego, kim był. Ale dziwne zwapnienie... to coś innego: jak pierwsze symptomy śmierci, spowodowane kontaktem z tamtym stworzeniem.

Stanowiły wynik jednego z eksperymentów Nihilów, przeprowadzonego w prowizorycznym laboratorium przez tego szalonego młotogłowego, Ithorianina, mamroczącego coś bez przerwy w swoim wibrującym ojczywym języku w trakcie całego procesu, komentującego na bieżąco, podczas gdy jego oprawcy powoli zmniejszali dystans między nim

a stworzeniem utrzymanym na naelektryzowanej łańcuchowej smyczy po drugiej stronie pomieszczenia. A przynajmniej tak wydawało się Veterowi – nie był w stanie skupić wzroku na stworze, sama jego bliskość sprawiała, że wszystko rozmywało się pod wpływem rozpalonych włócznie bólu, wbijających się w jego czaszkę. A gdy zaczęło się nim żywić, powoli wysysając z ciała Jedi Moc, jego przerażenie urosło do niewyobrażalnych rozmiarów, przekraczając wszelkie znane mu granice.

To był moment, w którym Pra-Tre utracił nad sobą kontrolę. Strach zawładnął nim bez reszty, a resztki rozsądku wyparowały. Nie do końca pamiętał, co wydarzyło się później, ale wiedział, że został odciągnięty, zanim stwór zdążył go pochłonąć. Słyszał, jak zwierzę wyje, szarpiąc naelektryzowaną smycz, próbując go dosięgnąć, łamiąc własne kości z totalnej desperacji i głodu, podczas gdy on został wtrącony z powrotem do swojej celi, pogrążając się w głębokiej nieświadomości, jakimś cudem pełnej jednak niepokojących wizji.

Kiedy się ocknął, był zaskoczony, że jeszcze żyje. Gardło miał zdarte od krzyku, a jego lewa dłoń zniknęła, zredukowana do zwapniałego kikuta w miejscu, w którym kiedyś znajdował się nadgarstek.

Nie wiedział, ile czasu minęło od tamtego dnia – być może godziny, ale równie dobrze mogło to być kilka dni. Tak czy inaczej, od tamtego momentu tkwił samotnie w swojej celi. Jej jedyne wyposażenie stanowił dzbanek letniej wody stojący w kącie. Cokolwiek zrobił mu ten Ithorianin – Veter zauważył ślady po zastrzykach na swoim drugim ramieniu, sugerujące, że gdy był nieprzytomny, przeprowadzano na nim kolejne eksperymenty – wyglądało na to, że spowolniło to proces przemiany w zwapniałą skorupę.

„Wolniejsza, bardziej bolesna śmierć. Bardzo w stylu Nihilów...”

Wyczuł w ciemności jakiś ruch.

Szczęk mechanicznego zamka. Skrzywienie zawiasów. A potem nagły rozbłysk światła, tak ostry, że zakręciło mu się w głowie, jakby rzeczywistość nagle wdarła się brutalnie do jego umysłu i wypaliła w nim dziurę. Zaciśnął powieki, unosząc pozbawione dłoni ramię, aby osłonić oczy przed światłem.

„Cóż za ironia” – pomyślał. „Dla światła i życia...”

Odgłos kroków przybrał na sile – stukot ciężkich butów. Zatrzymały się przed kratami jego celi. Veter odniósł wrażenie, że usłyszał zniesmaczone prychnięcie.

Powoli otworzył oczy i przekonał się, że światło nie jest wcale tak ostre i jasne, jak mu się wydawało. Tak bardzo przyzwyczał się do mroku, że najmniejszy blask – znajomy blask – wydawał się rażący i bolesny dla jego nawykłych do ciemności oczu.

Ale nie – to była tylko żółta poświata skradzionego miecza świetlnego, zaciśniętego w dłoni obcej osoby. Pra-Tre poczuł falę wzburzenia. Przebłysk jego dawnego „ja”.

„Jak on śmie?” – warknął w duchu. „Jak śmie używać naszej własnej broni, naszych własnych symboli przeciwko nam? Jak to się stało, że upadliśmy tak nisko?”

Niczym Latarnia spadająca z eiramskiego nieba, Jedi zostali brutalnie sprowadzeni na ziemię. Ale powstaną ponownie. Będą znowu kroczyć w świetle.

– Widzę, że odzyskałeś nieco wigoru. – Głos był zimny, pozbawiony emocji. – Dostrzegam to w twoich oczach. Nie brak ci hartu ducha, trzeba to przyznać. – Postać podeszła bliżej, wchodząc w krąg migoczącego blasku rzucanego przez klingę miecza świetlnego. – Ale to ziarno nadziei, które tak pieczołowicie hołubisz, ta wiara, że Jedi podniosą się po tym wszystkim, że uda im się odwrócić to, czego dokonaliśmy... to fałsz, ułuda. Zmiażdżę je, tak jak skruszyłem wszystko inne, w co ty i tobie podobni wierzyacie. Będę patrzył, jak się

płaszczysz. – Postać zatrzymała się, po czym uprzejmym, cywilizowanym tonem dodała: – Ale może jeszcze nie dziś.

Veter podniósł wzrok. Spojrzał na tę istotę – tego potwora – hardo, butnie.

Oto stał przed nim sprawca tego wszystkiego, całego tego bólu, cierpienia, chaosu. Marchion Ro, Oko Nihilów, serce burzy.

Wyglądał imponująco w swoim szkarłatnym płaszczu, z furtzanym kołnierzem zarzuconym na szerokie ramiona. I jeszcze ten hełm, z osadzonym centralnie dziwnym, czerwonym okiem, w którym kłębił się czerwony wir. Usadowiony na ziemi niczym skruszony pokutnik u stóp swego pana, Veter miał wrażenie, że oko wwierca mu się w czaszkę.

Wszystko dokładnie tak, jak zaplanował to Marchion Ro.

Zdeterminowany, by nie dać Oku satysfakcji, jakiej Nihil tak bardzo pragnął, Pra-Tre podźwignął się z podłogi, starając się ukryć napięcie i słabość, które czuł głęboko w kościach. Był głodzony, torturowany i narażony na kontakt z tym okrutnym stworzeniem, ale wciąż pozostawał Jedi. Wciąż pozostawał członkiem Najwyższej Rady.

Zmusił się, by utrzymać pion, i zrobił krok w stronę krat, aby znaleźć się bliżej swojego oprawcy. Buczenie miecza świetlnego było jedynym odgłosem mącącem ciszę, z wyjątkiem nierównego oddechu Vetera. Wiedział, że wkrótce stanie się jednością z Mocą.

Spojrzał wyzywająco na Ro, wbijając wzrok w to świdrujące, cyklopowe oko pośrodku hełmu Everena.

Gdyby tylko mógł wyciągnąć rękę i wyrwać mu miecz świetlny...

Sięgnął po Moc. Wydawała się odległa, słaba – nikłe echo tego, czym była dla niego wcześniej, czym była zawsze. Bliskość istoty zakłócała jego połączenie z nią, jakby w jakiś sposób stwór wysysał z niego Żywą Moc.

Veter zawsze odczuwał Moc jako coś stałego, litego, niemal namacalnego. Elastycznego i podatnego na formowanie niczym glina. Coś, co mógł kształtować na nowe sposoby, by wyrazić siebie... ale teraz jej materia wydawała się rzadka i luźna, niezdolna do utworzenia form, które próbował nadać jej w swoim umyśle. Głód stworzenia kąsał obrzeża jego skupienia, rozpraszając go i zakłócając każdą myśl. Był jak nieustępliwa, uporczywa, rozpalona do białości igła, wbijająca się w jego potylicę, zdeterminowana, by nie zaznał spokoju, uniemożliwiająca mu odnalezienie równowagi. A jednak, jak nauczał go niegdyś mistrz Yoda, kiedy Veter należał jeszcze do grona młodzików: nie ma próbowania, jest tylko działanie. Bez względu na okoliczności, bez względu na ból.

Sięgnął po miecz świetlny, przyciągając go do siebie. Rękojeść przesunęła się lekko w dłoni Ro, drgając, jakby kierowana ku tarnabskiemu mistrzowi Jedi niczym igła kompasu... ale jej utrzymanie wymagało od niego zbyt wielkiego wysiłku. Zrobił chwiejny krok w tył, pozwalając, by broń wyslizgnęła się z jego słabego chwytu.

Ro zgasił miecz świetlny kciukiem, ponownie pograżając celę w nieprzeniknionym mroku. A potem, bez słowa, po prostu odwrócił się i odszedł.